

LIRA
WYDAWNICTWO

*Miłość, medycyna
i tajemniczy
manuskrypt
w czasach
wojennej
apokalipsy...*

JULIA GAMBROT
Trysowy
LETÁRG

Irysowy
LETARG

JULIA GAMBROT

Irysowy
LETARG

L i R A
WYDAWNICTWO

Lira Publishing Sp. z o.o.

Wydanie pierwsze

Warszawa 2024

ISBN: 978-83-67915-80-9

*Dla moich dwóch cudownych Monik —
za to, że jesteście w moim życiu. Kocham Was*

ROZDZIAŁ I

Ocknęłam się w fotelu, cała drżąc. Nie miałam pojęcia, która mogła być godzina, ale przypuszczałam, że dochodziła już północ. Roztarłam zimne dłonie, starając się rozgrzać. Po chwili dotarło do mnie, że nie trzęsę się z zimna, tylko ze strachu. Serce biło mi niespokojnie i pompowało w skronie falę wzburzonej krwi, jakbym właśnie wybudziła się z koszmarnego snu. Wtem doleciały do mnie rozpaczliwe krzyki i płacz, a potem odgłos tłuczonych w oknach szyb. W pokoju początkowo panowała nieprzenikniona ciemność, ale na nocne niebo powoli wstępowała rdzawa luna. Doczołgałam się do parapetu, by wyrzucić na zewnątrz.

Płonęła synagoga. Kłęby szarego dymu mieszały się z płomieniami i mlecznobiałą listopadową mgłą spowijającą miasto. Okropny, duszący swąd spalenizny przenikał do wnętrza przez nieszczelne okna. Banda młodych mężczyzn niszczyła drewnianymi pałkami wszystko, co napotykali na swojej drodze. Nieliczni przechodnie uciekali w popłochu i próbowali schronić się w bramach. Widziałam ciemnoczerwone plamy na chodniku i słyszałam stukot oficerek o bruk. Zaciągnęłam pośpiesznie zasłony, żeby nie zostać zauważoną; bałam się, że przyjdą i po mnie. Stąpając ostrożnie po skrzypiącym, powycieranym starym parkiecie, obeszałam mieszkanie.

Zaczęło się! — Tragiczna myśl, że być może mam przed sobą ostatnie dni życia, wdarła się boleśnie do mojej świadomości, rażąc z siłą błyskawicy.

— Joachim? — wyszeptałam zdrętwiałymi ustami imię brata. — Joachim! — powtórzyłam jeszcze kilkakrotnie, ale odpowiadała mi głucha cisza.

Najwyraźniej byłam tutaj zupełnie sama. Zaraz po tym, jak owdowiałam przedwcześnie i straciłam pracę w szpitalu po dojściu do władzy Hitlera, gdyż byłam Żydówką, krewny przygarnął mnie pod swój dach i zaopiekował się mną oraz moim synem Aaronem. Podobny los spotkał bliskie mi przyjaciółki, lekarki, chociaż żadna z nich nie była wyznania mojżeszowego. Narodowym socjalistom nie mieściło się w głowie, że kobieta nadaje się do czegoś więcej niż do bycia kurą domową, mającą wydawać na świat co rok potomstwo.

Pamiętam dzień, kiedy po raz pierwszy na oddział przyszły brązowe koszule, nazywane tak od koloru mundurów, które należały niegdyś do carskiej armii. Bojówkarze nacjonalistów przejęli je i dołożyli do nich czerwone opaski ze swastyką. Zaczęto mnie szarpać, rozdarto fartuch, aż w końcu wypchnięto mnie na ulicę, prosto w błoto, i opluto.

— Precz z żydostwem! — krzyczeli funkcjonariusze. — Nie będziesz nigdy więcej dotykać swoimi brudnymi rękami Niemców!

Osołomiona, bezradnie podnosiłam się z ziemi, nie rozumiejąc, co się właściwie stało. Przed wejściem do budynku gromadził się tłum rannych w zamieszkach ludzi, którzy czekali na udzielenie im pomocy. Nowa władza rozpoczęła rządy od brutalnych walk także z komunistami.

Przez to, że spora część pracowników szpitala miała żydowskie pochodzenie, pozostały personel z dnia na

dzień musiał przejąć ich obowiązki i brakowało rąk do pracy. Cierpiący zawodzili żałośnie, błagając, aby ktoś się nimi zajął. Ale oni nie mieli litości dla nikogo. Pobili nawet starszego, jeszcze do niedawna szanowanego profesora. Gdy ociekał krwią, chwycili jego okulary i rozdeptali je na chodniku.

— Wyoście się z naszego kraju, bo pozabijamy was i wasze rodziny! — grozili nam wówczas.

To wszystko wydawało mi się zbyt abstrakcyjne, zbyt absurdałne. Przecież ja byłam w swojej ojczyźnie. Moi krewni walczyli na froncie w Wielkiej Wojnie. Dokąd miałabym pójść? Tutaj był mój dom.

— Pani doktor! — usłyszałam wołanie.

Poczułam, że ktoś pomaga mi wstać i odprowadza mnie w bezpieczne miejsce. Odwróciłam się i rozpoznałam jedną z pacjentek.

— Ci ludzie nie wiedzą, co robią! Proszę się nimi nie przejmować. Jak do narodu dotrze okrucieństwo, które się dzieje na naszych oczach, to odsuną tych bandytów od władzy! — zapewniła mnie, gdy usiadłyśmy na ławce.

Podziękowałam za te słowa otuchy, ściskając w milczeniu jej dłoń. Łzy, które uwięzły w gardle, całkowicie odebrały mi mowę.

Tak się, niestety, nie stało. Dalsze miesiące, a później lata udowodniły, jak bardzo tamta kobieta się myliła. Ustawy norymberskie, które weszły w życie, pozbawiły mnie nie tylko statusu obywatelki, ale i złudzeń co do tego, jakie są prawdziwe intencje Führera. Na ratunek jednak było już zbyt późno. Nie mówiąc o tym, że mocno uszczuplony budżet domowy nie pozwalał nawet myśleć o emigracji. Edukacja mojego syna Aarona pochłoneła

resztę oszczędności. Marzył o architekturze i miał niebawem rozpocząć studia w Szwajcarii. W Niemczech nie byłoby to możliwe za sprawą zasady *numerus clausus*. Wielu profesorów miało antysemickie nastawienie i nie pozwalało osobom żydowskiego pochodzenia na kontynuowanie nauki.

Ostatecznie podjęłam decyzję, że cokolwiek miałoby mnie spotkać, zostanę w Breslau, w moim mieście, gdzie się urodziłam i wykształciłam.

Chwyciłam za słuchawkę, ale linia telefoniczna przestała działać. Byłam odcięta od świata i gdyby teraz przyszło mi umrzeć, nie miałabym nawet jak pożegnać się z najbliższymi.

Dwukrotne, niesynchroniczne bicie wielu zegarów przerwało ponure rozmyślanie. Wisiąco ich w całym mieszkaniu aż osiem. Każdy odmierzał czas w swoim tempie, przypominając nieustannie o kruchości naszego istnienia. W większości trafiły tutaj leciwe i zniszczone, pozbawione wahadła, sprężynek czy wskazówek, a czasem ze stłuczoną porcelanową tarczą. Joachim, mający dziwne upodobanie do staroci, przywracał im dawny blask. Cyfra osiem, czyli odwrócony znak nieskończoności, zdawała się jego ulubioną.

Dopiero teraz zauważyłam, że drzwi do gabinetu brata były otwarte na oścież. Musiał je tak pozostawić, gdy wychodził rano, co było do niego niepodobne. Zawsze dbał o to, aby były zamknięte na klucz, by podczas jego nieobecności nikt tam nie zaglądał. Z wnętrza ziała ciemna otchłań, która miała w sobie coś złowieszczonego. Przelknęłam z trudem ślinę, jakbym miała w gardle gulę. Nie zapalając światła, weszłam do środka. W powietrzu

unosila się woń papierosów, w popielniczce leżały niedopałki. Joachim palił tylko wówczas, gdy nie szło mu w interesach.

Wzrok po chwili przyzwyczał się do nikłego oświetlenia. Wpadająca poświata zamglonego, jesiennego księżyca pozwalała dostrzec panujący bałagan. Pod stopami usłyszałam szelest porzrzucanych dokumentów, które leżały zwykle w równych stosach na biurku. W maszynie do pisania tkwiła naderwana kartka. Szuflady od biurka były niedomknięte, a ich zawartość powywracana, jakby mój brat bardzo się śpieszył. To również było do niego niepodobne, albowiem zawsze trzymał nienaganny porządek. Zatemperowane ołówki układał w kolejności od najdłuższego do najkrótszego obok szkła powiększającego i mosiężnego noża z głową wyżłā do rozcinania papieterii. Był przesadnym pedantem i przywiązywał wagę do najmniejszych szczegółów. W wielu sprawach wydawał się wręcz przewrażliwiony na swoim punkcie. Łatwo można było go urazić i rozpętać niepotrzebną wymianę zdań. Być może właśnie z powodu niełatwego charakteru nigdy nie ułożył sobie życia prywatnego. W tym względzie zresztą pozostawał bardzo skryty, ucinając natychmiast wszelkie rozmowy.

Gdy chodził do gimnazjum, nie brakowało dziewcząt, które ubiegały się o jego względy. Wyrósł na przystojnego młodzieńca, o dobrze zbudowanej sylwetce. Wzrok płci pięknej przyciągały interesujące oczy z różnobarwnymi tęczówkami: jedną szmaragdową, a drugą ciemnobursztynową. Joachim potrafił magnetyzować spojrzeniem tak, że damy wpatrywały się w niego jak urzeczone. On jednak wydawał się obojętny na ich wdzięki.

Widziałam tylko raz, tuż przed wyjazdem na front, jak żegnał się z pewną niewiastą, wyraźnie od niego starszą. Zapadły mi w pamięć jej kasztanowe włosy z rudym odzieniem, ciasno upięte w niski kok widoczny spod ronda kapelusza. Obserwowałam ich z oddali, schowana za firanami. Wydawało mi się wówczas, że to coś poważnego i że są ze sobą bardzo blisko. Świadczył o tym chociażby długi namiętny pocałunek tuż przed rozstaniem. Nigdy więcej nie ujrzałam tej kobiety ani też nie miałam odwagi zapytać o nią Joachima.

Z pewnością kolejnym powodem, dla którego panny na wydaniu przestały uważać go za atrakcyjną partię, było to, że często, czasem z dnia na dzień, rzucał pracę. Początkowo przejął po ojcu rodzinny biznes, ale szybko postanowił go sprzedać, uznawszy, że prowadzenie sklepu z artykułami kolonialnymi nie jest dla niego. Nie lubił targujących się, wybrednych klientów ani przebiegłych handlarzy oferujących trefny towar. Prowadzenie rachunkowości strasznie go nudziło, a stanie za ladą uważał za stratę czasu. Miał przeświadczenie, że został stworzony do czegoś lepszego, jakby czekała na niego niezwykła, życiowa misja do spełnienia. Rodzice mieli dość jego bujania w obłokach i słuchania nierealnych wizji przyszłości. Uważali, że powinien zacząć twardo stąpać po ziemi, znaleźć sobie jakieś uczciwe zajęcie, z którego wyżywiłby w przyszłości siebie i rodzinę. Zwłaszcza że studia na uniwersytecie chłopak traktował podobnie jak kwestię zatrudnienia, ostatecznie nie kończąc żadnego z kilku fakultetów.

Pobyt w okopach na froncie zachodnim spowodował, że Joachim bardzo zmęźniał. Wcześniejsze nedorzeczne,

romantyczne pomysły zniknęły bezpowrotnie. Zaszła w nim jeszcze jakaś zmiana, której nie potrafiłam nazwać. Żrenice, dawniej błyszczące, stały się matowe i zionęły pustką, jakby z wnętrza ulotniła się dusza. Okrucieństwa wojny odcisnęły na nim piętno.

Odgłosy na ulicy powoli cichły, a obudzone miasto ponownie zapadało w nocny letarg. Zgliszcza świątyni jeszcze dymiły, ale pożar został już prawie ugaszony. Wtem usłyszałam nieodległy odgłos wyłączanego silnika samochodu. Nie upłynęło dużo czasu i ktoś dobijał się do bramy, wzywając dozorcę, aby mu otworzył.

Na klatce schodowej rozległy się kroki i zbliżały się do mieszkania, w którym przebywałam. Musieliśmy przenieść się na samo poddasze, bo było to jedyne lokum, na jakie było nas w tamtym momencie stać. Latem doskwierał upał i zaduch, a zimą panował tu przenikliwy chłód. Małe, półkoliste okna wpuszczały niewiele światła do ponurego wnętrza, a na dodatek mój brat zazwyczaj lubił mieć zaciągnięte zasłony. Nie cierpiałam tego miejsca i nigdy nie czułam się w nim jak w domu, a bardziej jak zaszczute zwierzę w bezpiecznej kryjówce.

Do moich uszu doleciało najpierw natarczywe stukanie metalowej kołatki, a następnie głucho walenie w drzwi. Zamarłam, bojąc się uczynić najmniejszy ruch. Na moment przestałam oddychać. Nie miałam wątpliwości, że niespodziewana wizyta o tej porze nie mogła wróżyć niczego dobrego. Zrobiło mi się słabo i z trudem utrzymałam równowagę, oparłszy się o regał na książki.

— Otwierać natychmiast! — rozległ się donośny męski głos. — Policja!

Postanowiłam, że nie ruszę się z miejsca. Nie miałam pojęcia, jak długo to wszystko trwało, bo każda sekunda wlokła się w nieskończoność. Wreszcie musiano uznać, że nikogo nie ma w środku. Mężczyzna kopnął z wściekłością we framugę, po czym przeklął siarczyście.

— Jeszcze wrócimy po tego Żyda! Zapłaci za to, co zrobił, i nie ujdzie z życiem — usłyszałam groźbę wypowiedzianą uniesionym głosem.

— Pamiętajcie, że zanim go zatłuczemy na śmierć, trzeba go przesłuchać! Wydobyć z niego wszystko, co wie — upomniął drugi głos.

Gdy rozmowy i dźwięki na klatce schodowej ucichły, poczułam pulsowanie w całym ciele. Zastanawiałam się, czego mogli chcieć od Joachima. Wydawało mi się nieprawdopodobne, aby mógł popaść w konflikt z prawem. Zawsze był do przesady uczciwy. Ostatnimi czasami w ramach arytacji został zmuszony do sprzedaży na bardzo niekorzystnych warunkach swojego składu z antykami. Przyczyniło się to do pogłębienia naszych kłopotów finansowych. Nabywca lokalu od dawna szykanował i próbował zastraszyć naszą rodzinę. Być może więc sprawa w jakiś sposób dotyczyła tej transakcji.

Odczekałam chwilę, zanim odważyłam się ponownie zbliżyć do okna i ostrożnie wyjrzeć na ulicę. Wówczas ujrzałam mężczyznę w płaszczu i homburgu, opartego o karoserię czarnego volkswagena garbusa, zaparkowanego przy chodniku. Jego nalaną, okrągłą twarz oświetlała latarnia gazowa. Wydawało mi się, że wpatrywał się w okna naszego mieszkania. Wyciągnął z kieszeni papieroś, przygryzając go nieśpiesznie zębami. Przez moment zapalka oświetliła oblicze tego człowieka i ujrzałam grubą

szramę na policzku i brodzie. Cofnęłam się gwałtownie, czując wyrzut adrenaliny do krwi. Ciało zeszytywniało jak u nieboszczyka, a napięte do granic wytrzymałości mięśnie zaczęły drżeć.

— Kim jesteś?! — mamrotałam do siebie zmartwiałymi wargami.

Minęły kolejne minuty, zanim typ spod ciemnej gwiazdy odjechał.

W głowie wirowały mi tysiące myśli. Postanowiłam położyć się na sofie w salonie i przykryłam się wełnianym, szorstkim pledem. Wiedziałam, że i tak do rana nie zmrużę oka, ale wtedy będę mogła wyruszyć na poszukiwania. Wierciłam się na posłaniu, aż stare sprężyny skrzypiały. Targały mną emocje o sile oceanicznego sztormu. Przerażające wizje oplatały umysł niczym toksyczne pnącza, a złe przeczucia dźgały serce sprawiając ból jak ostrze mizerykordii. Momentami zapadałam w stan błogiej nieświadomości, by znów obudzić się w tym koszmarze, który śniłam na jawie. Wtem usłyszałam chrobotanie za drzwiami, jakby ktoś próbował otworzyć zamek. Pokój wypełniała szara poświata, ale jeszcze było przed świtem. Zerwałam się z posłania i ruszyłam w stronę drzwi wejściowych.

— Mamo! — usłyszałam ciche wołanie z korytarza.

— Aaron! — Otworzyłam drzwi i wpadliśmy sobie w ramiona.

Po naszych policzkach popłynęły łzy. Kilka miesięcy wcześniej mój syn wyprowadził się, gdy znalazł pokój na wynajem. Od tego momentu widywaliśmy się o wiele rzadziej. W obliczu wydarzeń rozgrywających się wokół jego odwiedzin nabierały szczególnego znaczenia.

— Nic ci nie jest?! — zapytałam, chwytając twarz Aarona w dłonie, by wyczytać z niej prawdę.

— Na szczęście nie! Ale aresztowali prawie wszystkich mężczyzn. Mają podobno wywieźć ich do różnych obozów!

— Jak udało ci się uratować?! — wydusiłam z siebie łamiącym się głosem.

— Ukryłam go w naszym domu — dobiegł mnie znajomy ciepły głos.

Dopiero wtedy zorientowałam się, że nie jesteśmy sami. Z półmroku wyłoniła się kobieca postać. Ściągnęła toczek, rozpuszczając ukryte pod nim złociste loki. Miała na sobie płaszcz redingote z brązowej dywetyny, o podłużnych cięciach i krótkich rewersach, a na ramionach modnego srebrnego lisa. Była to Natalia Hanzel, córka mojej przyjaciółki Lilii. Drobna i krucha, podobna do matki, po ojcu odziedziczyła nosek z małym garbem, który jednak nie ujmował jej uroku. Wzruszona rzuciłam się, by ją uściskać.

— Dziękuję ci z całego serca. Tak wiele przecież ryzykowałeś! — wyszeptałam.

— Oddziały SS chodziły od domu do domu, pytając, czy mieszkają tutaj jeszcze jacyś Żydzi, i zabierali każdego ze sobą — relacjonował mój syn. — Nie odważyli się jednak zapukać do domu szanowanego niemieckiego neurologa — zakończył, mając na myśli profesora Hanzela. Na twarzy pojawił mu się lekko kpiący uśmiech, jakby cała ta sytuacja go bawiła. — Udało mi się ich wykiwać, chociaż już na pierwszy rzut oka wyglądałam jak Żyd. — To powiedziawszy, potrząsnął swoją czarną, gęstą czupryną, a kosmyki lekko kręconych włosów opadły mu na czoło,

przysłaniając duże, wiecznie rozmarzone ciemnoszare oczy. — Może nikt mnie nie podejrzewał, bo u mojego boku kroczyła aryjska piękność? — dodał, zbliżając się do Natalii.

Ta w spontanicznym geście poprawiła mu fryzurę. Przez chwilę zastygli w bezruchu, pochłaniając siebie iskrzącymi spojrzeniami. Dopiero w tym momencie dotarło do mnie, że pomoc, jaką otrzymał Aaron, nie była jedynie wyrazem wieloletniej przyjaźni, lecz może czegoś o wiele poważniejszego. Poczułam uderzającą w skronie falę wzburzonej krwi. Obraz przede mną stał tak jaskrawy, że prawie mnie oślepił.

Tak bardzo nie chciałam, aby to była prawda... W tych strasznych czasach za związek łamiący ustawy norymberskie oboje ryzykowali życiem, z czego musieli sobie zdawać sprawę. Zhańbienie rasy było uznawane za jedno z poważniejszych przestępstw, a na Żydów za uwiedzenie niemieckich kobiet czekał wyrok śmierci. Wiedziałam jednak, że młodość rządziła się swoimi prawami. Pozostało mi żywić nadzieję, że to chwilowe niewinne zauroczenie, a otrzeźwienie przyjdzie niebawem. Postanowiłam również w stosownym momencie odbyć z synem zasadniczą rozmowę.

Zastanawiałam się, co powiedziałyby na to wszystko Lilia. Schorowana i biedna przebywała od wielu miesięcy na leczeniu w sanatorium w Alpach, walcząc z kolejnym rzutem gruźlicy. Nie miała pojęcia, co działo się w domu podczas jej nieobecności. Zapewne nie byłaby zadowolona, że jedyna córka, dobrze rokująca studentka Akademii Sztuk Pięknych, ryzykuje w ten sposób swoją przyszłość.

— Mamo, co z tobą?! — Syn potrząsnął mnie lekko za ramiona. — Jesteś taka milcząca. Chodź, zaparzę nam herbaty. Masz takie zmarznięte dłonie!

Skierował swoje kroki do kuchni. Dopiero gdy usiedliśmy nad filiżankami z gorącym naparem i pokroiłam czerstwą chałkę, ponownie zebrałam w sobie siły na rozmowę.

— Była tutaj policja... Przyszli po twojego wuja. Odgrazali się, że go zabiją. Nie wrócił wczoraj do domu i boję się, że stało mu się coś złego... — powiedziałam ledwie słyszalnie, wpatrując się w haftowany tisztych rozłożony na stole.

Z nerwów zaczęłam rozgniatać opuszkami palców okruszki.

— Ciociu, proszę, nie zamartwiaj się! — Natalia próbowała mnie pocieszyć, ściskając moją rękę. — Może udało mu się uciec jak Aaronowi? Pan Joachim opowiadał nam, jak przeżył Verdun, a to przy tym to nic!

— Obawiam się, że chodzi tutaj o coś więcej niż tylko o to, że jesteśmy Żydami... — skonstatowałam z żalością. — Tej nocy pod naszymi drzwiami był dziwny mężczyzna, który potem wpatrywał się w nasze okna. Miał oszpeconą blizną twarz, więc łatwo bym go rozpoznała, gdyby znów się pojawił.

Tym razem mój syn zasępił się i westchnął ciężko.

— Ty coś wiesz na ten temat? — Spojrzałam na niego badawczo, ale on tylko przygryzał wargi zębami, aż zrobiły się kredowobiałe.

— Nie wiem, mamo, czy teraz powinnaś się tego dowiedzieć...

— Co masz na myśli?! — wykrzyknęłam.

Oblał mnie lodowaty pot, który niczym igły kłuł moją skórę.

— Twój brat miał przed nami tajemnice. Zadawał się z ludźmi ze świata, z którym nikt z nas nie chciałby mieć nic wspólnego... Nie mam pojęcia, jakie dokładnie łączyły go z nimi interesy, ale być może to ostatecznie go zgubiło. — Ledwo Aaron skończył mówić drżącym głosem, gdy zegary zaczęły posępnie bić. — Sądzę, że może chodzić o pewne stare płótno przedstawiające nordycką boginię namiętności Lofn w sznurze pereł — kontynuował konspiracyjnym szeptem. — Z tego, co wiem, wuj wszedł w jego posiadanie w dziwnych okolicznościach, jeszcze zanim obraz stał się przedmiotem szczególnego zainteresowania. Namalował go mało znany artysta. Od jakiegoś czasu to malowidło z niejasnych przyczyn było dla wuja źródłem niepokoju. Jako handlarz antyków, nieraz drogocennych, zapewne miał świadomość, jakie wiążą się z tym niebezpieczeństwa. Bredził jeszcze coś o ukrytych rodowych klejnotach i sędziwym drzewie, ale nie miało to specjalnie sensu.

— Jak się tego wszystkiego dowiedziałeś? — dociekałam, ściągając mocno brwi.

— Gdy mieszkalem jeszcze z wami i spaliśmy w tym samym pokoju, zauważyłem, że wuja często męczyły nocne koszmary. Potrafił się obudzić z krzykiem. Zdarzało się również, że mówił przez sen. Wtedy kilka razy napomknął o portrecie pięknej kobiety, o ciemnomiedzianych włosach, odzianej jedynie w biżuterię i o... — zrobił chwilę przerwy, by nabrać powietrza — o mężczyźnie z blizną na policzku, który miał czyhać na jego życie i przed którym uciekał. Wywnioskowałem, że chodziło

o zemstę. Próbowałem wydobyć więcej informacji, na próżno. To wszystko, co wiem — dokończył, rozkładając ręce.

— Nic z tego nie rozumiem... — wyjąkałam oszołomiona i roztarłam bolące mnie coraz bardziej skronie.

— Jest sposób, aby rozwikłać tę tajemnicę — oświadczył mój syn poważnym tonem. — Musimy przeszukać gabinet wuja, być może tam znajdziemy odpowiedzi na dręczące nas pytania...

— Wykluczone! — zaprotestowałam stanowczo, zaciśkając nerwowo zęby, aż zazgrzytały. — Grzebać w prywatnych rzeczach podczas jego nieobecności?! Nie tak cię wychowałam! — pouczyłam Aarona, dając upust gniewowi narastającemu wewnątrz.

— Mamo! Być może to jedyna szansa, aby ocalić jego i nas! Nie mamy wyjścia i proszę cię, nie traćmy czasu, bo nie wiemy, ile nam go zostało... — rzucił enigmatycznie.

Oblicze jego przybrało bajroniczny wyraz, jakby nie powiedział nam jeszcze wszystkiego i skrywał straszną tajemnicę, tak przerażającą, że nigdy nie powinna wyjść na jaw, tylko zostać pochowana razem z nim w grobie.